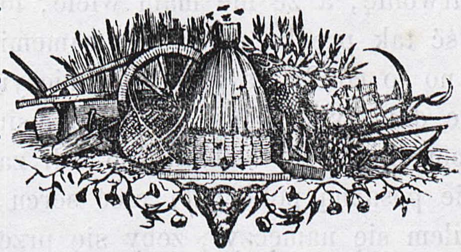
Tom XIII. Nr. 15.

21. listopada 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Poczciwość nagrodzona.

Mrok zapadał w cichej wiosce nad Bugiem, tysiące iskrzących gwiazd na błękitnem niebie zapowiadały jeden z tych ślicznych wieczorów naszej polskiej ziemi. Niezadługo jasna twarz miesiąca ukazała się po nad wierzchołkami lasu, a jego srebrne promienie oświecały dwoje młodych ludzi, siedzących smutnie nad rzeką.

— Tak Franusiu moja, przemówił po długiej zadumie Mateusz, przyjdzie mi was porzucić. Tę moją wioskę kochaną gdziem się urodził, cmętarz gdzie groby moich ojców, i wszystko co mam drogiego na świecie, nawet ciebie miła Franusiu opuścić muszę; a i nie możesz mi brać tego za złe, bo takie życie jak moje, to śmierci się równa; czuję, że już dłużej nie wytrzymam.

— A i o cóż ci tak chodzi Mateuszu? — zapytała nieśmiało dziewczyna.

— O co mi chodzi! — zerwał się porywczo. — Te ciągłe przymówki, przygryzki twego ojca, krewniaków, ba i tego i owego, dopiekły mi srodze; jakbym ja co winien był, żem

się biedny urodził. Czym to zmarnował, albo przetrwonił ojcowiznę? Wszak pracuję uczciwie od małego dzieciucha: nie przepijam, nie trwonię, a że nie mam wiele, to i nic dziwnego, bo trudno przyjść tak prędko do czegoś samemi tylko dziesięcioma palcami; no to cóż? Ja majątków niczyich nie pragnę, niech mi nic nie dają tylko ciebie samą Franusiu, a zobaczysz, czy nam przy pomocy Bożej chleba albo soli zabraknie. Moja wina, żem ciebie posażną pokochał, aleć sercu nie nakażesz! Sam Bóg wie, ilem się nameczył, żeby się przezwyciężyć i nie dać poznać, że ja biedny parobczak pokochałem dziewuchę najbogatszego we wsi gospodarza, ale cóż? serca nie przeprze — dokończył cicho Mateusz.

— Posłuchaj mnie — powiedziało wzruszone dziewczę — jam nigdy z ojcem tak szczerze o nas nie mówiła. Że cię miłuję, to wiedzą w całej wsi, a te dogryzki jak je zowiesz, to jeszcze nic; ojciec stary, to i marudny, mnie tam nijakich przytyków nigdy nie robił, a ludzkie gadanie, ktoby ta na nie uważał; wiesz przecie: „jeszcze się taki nie urodził, coby wszystkim dogodził.“ A potem mój Mateuszu jesteśmy młodzi oboje, to i poczekać możemy.

— A! czekać! czekać! i doczekać się aż cię przed ołtarz powiodą, a mnie może za drużbę poprosisz!

— To i mnie widzę już nie wierzysz, albo zapomniałeś jak ci przyrzekłam, że niczyją jak twoją nie będę — z żalem powiedziała Franusia — otóż raz jeszcze ci przysięgam na ukrzyżowanego Chrystusa, że tylko z Mateuszem przed ołtarz mnie powiodą, inaczej wolałabym marnie zejść z tego świata.

— O Boże! co też mówisz Franusiu! Franusiu tożbym wolał widzieć cię w uściskach innego, aniżeli... — i porwał za ręce miłą sobie dzieweczkę, jakby ją chronić chciał od wszystkiego złego.

— A widzisz Mateuszu, jak to źle wątpić, stracić wiarę w serce kochające, wątpić o dobroci Boga i mnie przez to do grzechu pobudzać; otóż widzisz, ja dzisiaj jeszcze będę prosić Walentowej naszej sąsiady, by pogadała z ojcem: jak wiesz cała wieś ma ją w wielkiem zachowaniu i mój ojciec także;

a kocha mnie jak własną. Jeżeli kto, to poczciwa starowina będzie umiała wyrozumieć ojca, coby też powiedział na nasze ożenienie.

— Co powie, to ja już dawno wiem, ale kiedy tak chcesz, to niechże i będzie; popróbuj, chociaż po prawdzie ani źdźbła nadziei nie mam, by ojciec twój chciał biednego parobczaka zięciem swym nazywać.

— Wszystko jest w mocy Boga, mówi zawsze nasz dobrodziej, i ja w Jego najświętsze ręce dolę naszą składam. Bądź dobrej myśli Mateuszu, jutro po zachodzie będę szła do Kasprowej, czekajże na mnie za wsią, to ci powiem da Bóg dobrą nowinę — mówiła Franusia dochodząc zwolna ku domowi, pożegnała Mateusza i smutna, zadumana weszła do Walentowej: smutna, bo wiedziała dobrze, że ojciec żadną miarą nie zezwoli na połączenie się z Mateuszem, bo pocieszała go tylko, sama nie wierząc słowom swoim. Postanowiła jednak spróbować, rachowała bowiem na wielkie ku sobie przywiązanie ojca. Długo naradzały się z Walentową, jak zacząć mają ważną rozmowę, aż sama nastręczyła się sposobność, bo stary Kasper nie widząc wracającej córki, sam po nią zaszedł do Walentowej.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł wchodząc do izby siwy, ale krzepki jeszcze Kasper — a cóż to mi dziewucho do domu nie wracasz, aż stary ojciec szukać cię musi po sąsiadach.

— Ej nie gniewajta się kumie — rzekła Walentowa — toć nie na żadne bałamuctwo ani zaloty poszła, ino ze starą pogadać.

— Oj te zaloty! te zaloty — mruknął niechętnie stary — a jeszcze żeby to kto od ludzi, a nie lada chłystek.

— Wiem ci ja, do kogo pijecie — mówiła ośmielając się kobieta — ale nie grzeszcie! oj nie grzeszcie kumie! chłopiec stateczny, poczciwy, pracowity, nie żaden furda ani pijanica, cała wieś to przyzna; że majątków nie ma w kieszeni, no to ma w pracowitej ręce i błogosławieństwie Boskiem, co uczciwej pracy zawsze błogosławi.

— Tere fere, tere fere — z gniewem zerwał się Kasper — co się też wam roi Walentowo, nie dziwiłbym się młodej

głowie, ale żebyście wy stara kobieta tak bzdurzyli, to i wstyd. Ja miałbym moją i moich ojców pracę lada młokosowi wydać, by potem jeszcze zęby mną sobie wycierał i poniewierał jedyne dziecko, a niedoczekanie wasze — wołał trzęsąc się od złości.

— Tatusiu! tatusiu jedyny! — całując go w ręce i kolana zaszlochała Franusia — już ja nie chcę nikogo i nigdy, tylko się nie gniewajcie, nie pójdę za mąż! jak mi Bóg miły nie pójdę!

— Nie pójdziesz! a i do czego rośniesz? — powiedział ochłonąwszy cokolwiek Kasper — ja ci za mąż iść wcale nie bronię, ale chcę, byś sobie dobrała porządnego i dostatniego chłopca, a nie uganiała się za lada pędziwiatrem i nie uważała na potakiwanie cudze, bo ojciec chce dla ciebie najlepiej, i tak zrobi jak mu się będzie zdawało.

Nie dorzuciła już ani słowa zakrzyczana Walentowa i spłakana Franusia; znały dobrze gwałtowną gniewność Kaspra, i wolały zmilczeć, a wszystko czasowi i Boskiej Opatrzności zostawić.

Nazajutrz blada, znękana dzieweczka szła smutna wązką dróżyną do wsi sąsiedniej; gwiazdy nie przyświecały jak wczoraj, ciemny chmurny wieczór zgadzał się z smutkiem biednej Franusi, szła pomaleńku postawając często, wzdychała szukając w głowie i serduszku, czem pocieszyć, jak powiedzieć Mateuszowi, że ojciec wszelką odjął im nadzieję. Nic jej jednak na myśl nie przychodziło, zranione serce bolało, a gdy Mateusz zabiegł jej drogę, zamiast powitania, rozszlochała się na dobre.

— Widzisz Franusiu kochana — przemówił z boleścią — za wysokie progi na moje nogi. Oj gdyby nie te łzy twoje, co mi kamieniem na serce padają, poszedłbym gdzieby mnie oczy poniosły.

— Nie rób tego! nie rób na miłość Boga — wymówiła z trudnością przed płaczem Franusia i ujęła jego rękę jakby się lękała, żeby od niej nie uciekł.

— A i cóż ci ze mnie biedna dziewczyno? Cóż ja ci poradzić mogę. Bóg widzi, krwi bym ci swej nie poskąpił, a je-

dnak zaradzić twoim łzom nie mogę, bom biedny, a biednemu zawsze wiatr w oczy.

— Bóg dobry — przemówiła z cicha Franusia — mimo wszystkiego mam nadzieję w jego nieprzebranem miłosierdziu, a i dziś śniła mi się matka nieboszczka, a wiele razy w śnie ją zobaczę, zawsze coś dobrego mnie spotka. — Szli zwolna pocieszając jedno drugie zajęci swoją niedolą, nie uważali, że tuż za niemi postępuje proboszcz tej wsi. Zacny ksiądz Pawłowski, cały oddany poświęceniu dla bliźnich, wracał ze swojej zwyczajnej od chorych i potrzebujących pomocy wędrówki, i mimowoli wysłuchał skarg i narzekań młodych ludzi: ujęła go wiara ich w Opatrzność i poddanie się korne woli Boga i rodzica.

— Bóg z wami dzieci — przemówił poważnie — a dokąd to idziecie?

— Chyba was Bóg nam zesłał dobrodzieju na pociechę, o może i radę jaką nam dacie — zawołał Mateusz obejmując z uszanowaniem i miłością kolana bardzo szanowanego proboszcza.

— A i w czemże mogę wam być użytecznym? — spytał ksiądz z dobrocią — znam cię chłopcze, żeś uczciwy i pracowity, Franusię że skromna i bogobojna; możebym nawet i zgadł o co chodzi, gdybym was tak smutnemi nie widział.

Mateusz jął opowiadać co zaszło, dzieweczka po cichu płakała, gdy kończąc już smutną historyę swoją potknął się mocno o coś leżącego na ziemi. Byli już na bitym trakcie prowadzącym do miasta. Chcąc poznać co było powodem jego upadku, schylił się i podniósł dużą torebkę. Zatrzymali się. Młody chłopiec wyjął krzesiwko, naniecił ognia i trochę drżącą ręką otworzył pugilares napełniony papierami bankowemi i srebrem: przetarł oczy, zdawało mu się, że marzy, nakoniec odzyskawszy mowę:

— Franusiu! — zawołał — Franusiu! patrz jestem bogatym, obacz co tu pieniędzy, to Pan Bóg sam ulitował się mej niedoli, teraz już mi dadzą ciebie. Za tyle pieniędzy oporządzę się jak należy. Kupię grunt, chałupę, ba i na zagospodarowanie wystarczy; chodź tylko do ojca, jak mu pokażę tyle

bogactwa, zobaczysz, zacznie z innej beczki, ale chodź tylko prędzej, wołał ciągnąc ją zapomniawszy o plebanie, co usunąwszy się na stronę przypatrywał się im obojgu z wielką ciekawością.

— Prawda! jak mi Bóg miły — zawołała uradowana Franusia — taki skarb; o! dzięki ci też Wszechmocny Boże! Co tu pieniędzy! Ale kto też to mógł zgubić w tych stronach?

— Kto zgubił, to zgubił, dość że ja znalazłem, zawołał nie myśląc o tem co mówi i pociągając za sobą Franusię.

— Mateuszu — powiedziała zamyślając się dzieweczka — my się tu tak cieszymy, ale co też ten nieborak robi co zgubił: może to cały jego majątek?

— Cały, niecały, czegoż się nie pilnował — chmurząc się zwolna mówił młody chłopiec — ty bo Franusiu, zamiast iść co prędzej ze mną do ojca, rozgadujesz się niepotrzebnie.

— Bo widzisz, powiem ci szczerze, że mi czegoś robi się markotno, wiem przecie, żeś znalazł te pieniądze, a jednak zdaje mi się, że one nie twoje.

— Prawda, żem na nie nie pracował — rzekł markotno młody chłopiec — znaleziona zguba to nie własność; człowiek tak skołatany, że o tem nie pomyślał, masz racyę Franusiu, to nie moje i trzeba oddać gdzie należy. Ale z naszej jeniaczki kwita. — W tej chwili oboje wspomnieli na proboszcza, zbliżył się i on do nich a uściskawszy z uczuciem:

— Bądźcie dobrej myśli — powiedział — Bóg o was, jak wy o nim nie zapomni, domyślam się, czyja może być zguba. Od kilku już dni spodziewają się we dworze dziedzica, który sprzedawszy odziedziczony w tych czasach majątek w Krakowskiem, chce nabyć przyległą naszej wiosce Brzozową Wulkę, może więc być, że to on zgubił pieniądze.

— Niech będą czyje chcą, ja ich tam nie ruszę — mówił z determinacyą Mateusz, oddając pugilares proboszczowi. Niech dobrodziej robi z niemi co mu się żywnie podoba.

Rozłączyli się niebawem, pocieszeni przez proboszcza, który uroczyście obiecał zająć się ich całą sprawą. I rzeczywiście zaraz nazajutrz udał się do dworu, gdzie zastał wczoraj przybyłego dziedzica, a opowiedziawszy całą sprawę z pie-

niędzmi, przekonał się, że domyślenia jego były słuszne, bo znaleziona znaczna suma była rzeczywiście dziedzica, pochodząca ze sprzedaży dóbr w Krakowskiem; ale nie tyle ucieszyły zacnego pana włości znalezienie pieniędzy, ile uczciwość dwojga młodych ludzi. Całą więc tę sprawę wziął gorąco do serca, i nie czekając posłał po Mateusza. Po krótkiej z nim rozmowie udał się szlachetny dziedzic wraz z proboszczem do chaty starego Kaspra, zdziwionego i uradowanego odwiedzinami powszechnie kochanego pana. Po przywitaniu szanowny dziedzic prosił go o rękę córki dla młodego gajowego z pensyą 500 złotych rocznie, chatą i ogrodem. Zagadniony z nienacka Kasper, nie wiedział jak sobie radzić: odmówić nie było sposobu, bo chociaż nie wiedział jeszcze o kogo chodziło, znając dobrze pana, był przekonanym, żeby mu nie swatał takiego zięcia, coby nie wart był jego jedynaczki. Wcale też nie to go kłopotało: kamieniem na sercu leżały mu od wczoraj łzy i smutek córki, którą serdecznie kochał, a i ostre wyrazy wyrzeczone w gniewie przeciw Mateuszowi bolały go srodze, bo wiedział jak uczciwym i pracowitym był młody chłopak. Lękał się powtórzenia wczorajszego żalu córki, gdyby jej męża narzucić chciał, dla tego umyślił całą rzecz zdać na nią samą. Skraśniało przywołane dziewczę, modre oczęta ku ziemi spuściła, ale wnet zmiarkowawszy o co chodzi, miętosząc w ręku róg fartuszka, Franusia choć cichym szeptem, wręcz jednak oświadczyny przyjęła. Zdziwił się stary Kasper, nie wierzył własnym uszom, a nie wiedząc, że to o Mateuszu była mowa, mruknął na płochość zwykłą niewieście:

— Nie spytaszże przynajmniej o kim mowa — powiedział nareszcie — boć przecie nie starego Kubiaka, co zmarł łońskiego roku, swata ci nasz pan łaskawy.

Aż też i Mateusz wszedł do chaty, pokłonił się proboszczowi i dziedzicowi, który wziąwszy za rękę uśmiechniętą Franusię i rzeźkiego chłopca, poprowadził oboje do Kaspra, nie pojmującego co się święci.

— Błogosławcie ojcze — powiedział — bo oto gajowy, dla którego prosiłem was o rękę dorodnej waszej dziewuchy.

Poklękali młodzi, a stary wzruszony i ucieszony podniósł drżące ręce i pobłogosławił z radością:

— Znać taka wola Boga dzieci moje — powiedział stary — ja przeciwko tobie nic nie mam mój chłopcze, znają cię w całej wsi, żeś pracowity i nie utratnik, a dziś kiedy wiem, że dziecku memu nie będzie ani chłodno, ani głodno, chętnie ci je daję wraz z dobytkiem, bo wiem, żeś wart tego, tem bardziej kiedy się wstawiają za tobą tak zacni ludzie.

— O i bardzo wart — rzekł proboszcz i opowiedział piękny czyn młodych ludzi, a dziedzic dodał, że z tych pieniędzy daje im jeszcze pewną część na zagospodarowanie się. Lecz Mateusz i słyszeć o tem nie chciał, mówiąc, że i tak ma dosyć, bo pewny kawałek chleba i ukochaną Franusię. Stanęło więc na tem, że przeznaczone sobie pieniądze, za chętną zgodą starego Kaspra, oddał Mateusz proboszczowi z prośbą, by ich użył na nowy budynek, który przeznaczonym będzie na szkółkę we wsi. Jakoż wkrótce po weselu szczęśliwego Mateusza z dorodną Franusią, w przytomności całej wsi, poświęcił zacny proboszcz węgielny kamień na porządną murowaną szkółkę, gdzie po dziś dzień wszystkie dzieci całej wsi, a nawet starsi pilnie chodzą, ucząc się jak czcić Boga i pełnić obowiązki względem niego, bliźnich i siebie.

Dwie dusze.

W ciemność wysoką, w wieczystą głuszę
Idą ze świata dwie różne dusze.

Jedna jak głownia czarna, ponura,
Leci, by z wichrem gradowe chmura.

Druga przejrzysta jak kropla duża,
Ciemne powietrze sobą rozchmurza.

Kiedy się zbiegły dwie nieboszczyce,
Obiedwie sobie spojrzały w lice.

— To ty Barbaro? — To ty Maryjo!
I wszerz swe długie szaty rozwiją.

— Jaka ty ciemna... powiedz siostrzyczko,
Coć poczerniało różane liczko?

Ty była taka blada jak ściana,
A czasem jakby róża różana...

Czy ty się w jakiem kąpała zielu?
Dziewczęta czasem myją się w chmielu,

Inne w leszczynie, na której jeszcze
W zawiązku biały orzech szeleszcze? —

— Ej nie to, nie to, od liści ziela
Człek się nie czerni, ani wybiela.

Ja nie raz matce bardzo odrzekła,
Że aż niebodze i łza pociekła.

I tak krótkiemić powiem słowami,
Cała ludzkiemi zmyłam się łzami.

A łzy co w oczach perłami lśniły,
Taką mnie strasznie czarną zrobiły.

Lecz ty mi powiedz siostro bez grzechu,
Na jakim ty się bieliła blichu?

Pamiętam ciebie, kopciuszek iście,
A teraz cała świecisz śrebrzyście.

Wszak ty służyła za popychadło,
Nie raz na ciebie i błoto spadło.

A kto przechodzi to popchnie, kopnie,
Co prawda, brzydka byłaś okropnie.

I w jakim ty się zdroju kąpała,
Żeś wyjaśniała i wybielała?

A owa rzecze głosem jak dzwonka,
Albo kościelnej pieśni z przedsionka:

— Jam się nie myła w gładkiem jeziorze,
Które ptak śrebrny piersiami orze;

Ni w źródle, które z pod drzewa leci,
Z pod mchowych liści jasno się świeci,

Otoć krótkiemi powiem słowami...
Ja się własnemi obmyła łzami.

To rzekłszy w szatę zwinie się białą,
I leci w stronę gdzie rozedniało.

T. Lenartowicz.

Majster Siwuń.

Powiastka
Tomka z nad Styru.

(Dokończenie.)

Na drugi dzień rano całe miasteczko gadało o majstrze Macieju i o ogromnych brykach naładowanych pakami siwego sukna, które co nocy przywożono niewiadomo zkąd do starego dworku pod sosnowym borkiem.

Tymczasem poczciwy pan Maciej nie spodziewał się niczego i wesoło sobie przyspiewując krajał siwe sukno na mundurki, płaszcze i czapeczki dla „swoich dzieci!...“ jak mawiał.

Często po północy zajeżdżała bryka z za lasu przed dworek majstra, zabierała poszyte suknie, mundurki i płaszcze i wywoziła gdzieś... ale gdzie?... o tem nikt pono nie wiedział.

Pan Maciej szył od rana do wieczora, a w niedzielę albo w święto jakie to zamykał się w swojej osobnej izdebce i długo, bardzo długo tam coś przesiadywał. Nikt nie wiedział co on tam robił, aż dopiero mały Wojtuś z kuchni, co dawniej palił w grubach, a teraz przyuczał się od majstra krawiectwa, zerknąwszy raz przez dziurkę od klucza, zobaczył pana Macieja klęczącego przed obrazem Matki Bożej, modlącego się głośno. Majster miał łzy w oczach, a rozciekawiony Wojtuś dosłyszał podczas modlitwy po kilka razy wymówione imię wodza Dwernickiego.

Tak stały rzeczy długi czas. W kraju wrzało tymczasem i gotowało się jak w garnku, a do naszego miasteczka zalatywały wieści o mężnej braci, co z bronią w ręku powstała bronić praw i swobody ojczystej!... Pod Stoczkiem, pod Grochowem, pod Wielkiemi Dębami, pod Boremlem zbili nasi Moskali co się zowie, a jaki taki, co miał zdrowe ręce, obszerniejszą pierś i serce kochające ojczyznę, brał kosę do ręki i szedł na wroga. Ale niestety Moskal przemocą swoją zwyciężył.

Jakoś w kilka miesięcy potem straszne nieszczęście spadło na stary dworek pod sosnowym borkiem. Było to raz wieczorem, na kominku syczały polanka i blade światełko rzucały na izbę,

a na stołku siedział sobie pan Maciej i krajał sukno i spiewał coś o Krakusnch i o dzielnym Dwernickim.

W tem zaturkotało na podwórku, przed dworek wpadła kibitka i w kilka chwil potem nieszczęśliwy majster związany i w łańcuszki okuty był już w rękach Moskali. Nic nie pomogły tłumaczenia się, nic nie pomogły płacze i łzy biednej jego żony, Moskale zabrali sukno, mundury i płaszcze, zbili płaczącą Maciejowę, a gdy nieszczęśliwy majster pytał, gdzie go biorą i co się z nim stanie, to mu odpowiedzieli:

— Milcz i zabieraj się!

Kibitka ruszyła, pan Maciej jeszcze raz wyciągnął ręce do wpół umarłej z przerażenia, biednej swojej kobiety, i wkrótce pusto już było na podwórku, tylko zdala zalatywał coraz to cichszy turkót kół szybkiej kibitki, unoszącej nieszczęśliwego więźnia...

— Na Sybir!... do kopalni!... — wyjękła biedna kobieta i padła na kolana przed obrazem Bożej Rodzicielki. Tymczasem na kominie przygasło ognisko, w izbie było ciemno i pusto okropnie, a w kominach wył wicher i jęczał tak przeraźliwie jak dusze umarłych w czyśćcu!...

Na drugi dzień w całem miasteczku mówiono o okropnem nieszczęściu, które nawiedziło stary dworek pod sosnowym borkiem. Niejeden szczerze zapłakał nad nieszczęśliwą dolą majstra Siwunia, a stary ksiądz proboszcz odprawił w kościółku mszę, błagając miłosiernego Boga o odwrócenie tego okropnego nieszczęścia od nieszczęśliwego majstra i osieroconej jego żony.

W kilka dni potem w szyneczku pod „kogutkiem“ siedział za stołem pan Kasper Szelka i opowiadał coś na ucho grubemu woźnemu z urzędu. Na stole stała flaszka z zielonym truneczkiem.

Woźny był bardzo wesoły, łypał z zadowoleniem oczyma i popijał z kieliszka. Żydek zwijał się koło stoła, wydobywał najsmaczniejsze likiery z szafeczki pod kluczem, które tylko dla najbogatszych mieszczan otwierał, i cmokając językiem kiwał coś bardzo głową.

Pan Kacper miał pełne kieszenie białych nowiuteńkich rubelków, popłacił żydowi wszystkie swoje dawne długi i wypił z woźnym trzy sztofy dziengielówki.

II.

Od tego czasu sporo minęło lat. Wojna ucichła, Moskal znowu zapanował w ojczyznie naszej i jeszcze mocniej uciskał i ciemiężył nieszczęśliwy naród, więzienia pozapełniały się powstańcami, a na Sybir pędziły kibitki z biednymi skazańcami. A przecież choć tyle nieszczęść spadło na nieszczęśliwy kraj nasz, choć tyle krwi się po biednej ziemi polało i tyle mogił przybyło, nie tracili nasi nadzieji w pomoc miłosiernego Boga, a niejeden skazaniec, pędzony w sybirskie krainy na kilkanaście lat albo i na całe życie, składał nabożnie ręce i ze łzami w oczach szeptał:

— Dziej się wola Twoja przenajświętsza!... Wycierpieliśmy już tyle nieszczęść, wytrzymaliśmy tyle zawodów, toć i życie położymy za kochaną ojczyznę!...

Tak to sobie niejeden biedny myślał, oglądał się za kochanym krajem, co mu co raz to znikał już z oczu i tonął hen tam gdzieś w mgle dalekiej za górami i lasami. A Kozacy smagali nieszczęśliwych harapami i pędzili jak bydło coraz to dalej i dalej w białe śnieżne stepy; wykrzykując jeno dziko:

— Na Sybir!... na Sybir!... —

A strasznyż to kraj ten Sybir moskiewski, zimny, śnieżny i bezludny jakby po klęsce morowej!... Jak daleko zajrzysz okiem, stepy jeno a stepy białe, śnieg a śnieg, gdzieniegdzie ledwie czasem, a i to bardzo rzadko zaczernieje się kilka chałup brudnych, z których wyjrzy otulony w niedźwiedzią skórę dziki Moskalisko i przestraszony widokiem ludzi ucieknie nazad i zabije przed nieszczęśliwym skazańcem drzwi i okna!... A gdy ci przyjdzie lata spędzić w głębokich kopalniach na ciężkiej pracy, gdy batóg kozaka skórę ci z ciała zedrze, toś choć młody i rumiany rychlej jeszcze pochylisz się, zżółkniejesz i zestarzejesz, a włos ci pobieleje by o późnej starości...

Do tej to strasznej krainy powieźli i nieszczęśliwego naszego majstra krawieckiego z Pilicy, pana Macieja Siwunia. Pani Maciejowa płakała, postarzała się i pochyliła jak staruszka, tak jej biedaczce tęskno i smutno było bez męża!... Stary dworek także coś nieboraczysko ucierpiał, bo i z dachu wicher pozrywał okłoty, szyby z okienek powybijał, a nie było

komu świeżo poszyć strzechę ni koło zagrody pochodzić!... W stajni i oborce bydełko schudło i pokuliło się, pole leżało odłogiem i do spichrzyka nie przybywało coś ziarna.

Biedna majstrowa sama jedna, bez dzieci, bez męża, więc nie dbała o gospodarkę i dobytek w domu, bo i dla kogo by to już wszystko było?... Majster Maciej jak wyjechał z Kozakami na Sybir, tak i wszystko po nim ucichło, by kamień w wodę rzucił. Co się biedna żona napłakała, co naprosiła, napytała, nic nie pomogło!... Gdzieś go znać wywieźli głęboko w moskiewskie kraje, zkąd już nieboraczysko nawet znaku życia kochanej żonie swojej dać nie mógł!...

Tak to było długi czas. W Pilicy żałowano bardzo po biednym majstrze. Niejeden może i pocierpiał na tem, bo takiego krawca jak Pilica Pilicą to taki tam nie było, a choćby nawet i nie to, to zawsze był to człeczysko dobry choć do rany przyłoż, zacny i poczciwy jakiego jeno szukaj.

Nikt w całem miasteczku nie wiedział, jakim sposobem mogli się Moskale dowiedzieć o tajnych robotach majstra dla powstańców, i tylko organista tamtejszy pan Kukawka, co to nic się przed nim nie ukryło, strasznie coś krzywo spoglądał na pana Kaspra Szelkę, pisarczuka z urzędu, który zawsze był goły jak święty turecki, a teraz bardzo coś sypał białemi rubelkami, sprawił sobie nowiuteńki surdut z świecącemi guzikami i całe dnie i nocy przesiadywał w szynku „pod kogutkiem“ na grzanym miodku.

W kilka lat potem pewnego wieczoru gdy pan Kalasanty Kukawka zajrzał raz do starego dworku majstra, zastał drzwi zamknięte, okna zabite i w całej zagrodzie pustkę, ni jednej żywej duszy!... Dopiero gdy wrócił do probostwa dowiedział się od księdza, że pani Maciejowa oddała cały swój dobytek, gospodarkę i zarząd w zagrodzie panu burmistrzowi, dalekiemu swojemu krewnemu, a sama z niewielką sumką pieniężną w zapasie poszła hen w dalekie kraje moskiewskie, za mężem...

Tymczasem pan Maciej głęboko na Sybirze osiadł w ubogiej jednej wioszczynie i jak mógł zarabiał sobie na kawał czarnego i suchego chleba. Było tam także kilku nieszczęśliwych Polaków, zesłanych z ojczyzny na wieczne mieszkanie

i niewolę moskiewską, więc razem z niemi myśląc o ojczyźnie kochanej, o swoich i o rodzinnej stronie, lżej było biednemu wyżyć i łacniej cierpieć z innymi...

Pan Maciej szył suknie swoim ziomkom, a w zamian od jednego dostawał jedzenie, drugi zaopatrywał go za to czem mógł, a inny oprócz serdecznego uścisku i szczerej podzięki nic mu nie mógł ofiarować, bo sam był biedny nieboraczysko i nieraz ginął z głodu...

Tak minęło kilka lat, gdy pewnego razu, późną już jesienią przybłąkała się do owej osady wygnańczej na Sybirze zbiedzona i zchorzała kobiecina. Była bardzo osłabiona, tak że ledwie dowlekła się do pierwszej chałupy i upadła nieboga bez sił na ziemię.

Otóż słuchajcie moiściewy, była to żona majstra Macieja. Co tam było radości i wesela, witań i uścisków ze łzami zmieszanych, o tem wam pono nie potrzebuję powiadać. Żona Siwunia, jako wierna małżonka, dotrzymać mu chciała wiary i jak też przysięgła mu przed ołtarzem, że go nie opuści aż do śmierci — tak dotrzymała, bo o żebraczym kiju przywlokła się aż na Sybir piechotą, aby męża swego wyszukać! Pan Maciej spłakał się jak bóbr, otoczył swoją ukochaną kobietę staraniami, tak że po kilku tygodniach odzyskała trochę siły i mogła już biedaczka na własnych nogach ustać.

Niedługo potem nasi majstrowstwo założyli sobie futorek, pan Maciej szył snknie i zarabiał potrochu na chleb i utrzymanie, pani Maciejowa zatrudniała się domowem gospodarstwem i była drugą matką nieszczęśliwym wygnańcom w onej osadzie.

* *
*

Po piętnastu latach wygnania stary majster uzyskał nareszcie pozwolenie powrotu do rodzinnej ziemi. Pożegnał swoich nieszczęśliwych rodaków w osadzie, zabrał żonę i synka, co już dwunasty rok zaczynał i po kilku miesiącach podróży wrócił do Pilicy, z powszechną radościa zacnych mieszczan, którzy go z otwartem sercem przyjęli. Stary majster zagospodarował się na nowo w starym dworku pod sosnowym borkiem, i szył jeszcze paradniejsze kapoty i sukmany mieszkańcom Pilicy, a młody jego syn w ostatniej wojnie z Moskalami bił się jak

przystało, a wróciwszy ożenił się z urodziwą i poczciwą dziewoją, która niedługo potem powiła mu synka. Do dziś dnia żyje jeszcze w Pilicy ta poczciwa rodzina, a widoczne błogosławieństwo Boże spływa na stary dworek pod sosnowym borkiem.

W parę tygodni po powrocie starego majstra do Pilicy znikł naraz z miasteczka pan Kasper Szelka, a w kilka dni potem rybacy zapuszczając więcierze na ryby wyciągnęli z rzeki ciało utopionego pisarczuka. Jak się potem odkryło, pan Kasper był owym, który to sprowadził przed laty Moskali na dworek pana Macieja. Hojnie za to zapłacony sypał rublami jak pan i chciał wódką sumienie zalać. Aleć dobrze to powiedziano, że choć je zalejesz i przytłumisz, to przecie ono kiedyś znowu zacznie szarpać duszę i nie da ci spokoju w żywocie: tak się też i z panem Kasprem stało. Kilka lat mizernego żywota w szynku i pod ławą, obudziły w nim w końcu wyrzuty sumienia. Rozpacz zapędziła go za miasto, nad brzeg rzeki, do której się nieszczęśliwy rzucił i utonął.

Rady gospodarskie.

O gnoju.

Gnojem nazywamy wszelkie rzeczy, które same, albo za pomocą ludzką łączą się z ziemią i nadają jej żyzność, a roślinom wzrost, moc i pokarm.

Gnój powstaje z części zwierzęcych i roślin; do tego należą wszelkie odchody zwierzęce i ich szczątki jako to: kości, rogi, kopyta, sierść, krew i t. d. Powstaje z roślin, które jako ściołka służą i pomieszane z odchodami zwierząt; albo zielone rośliny zasiane na mierzwę, albo szczątki roślin np. kuchy, popiół, sadze i t. d. — Albo nareszcie powstaje gnój złożony z rozmaitej ziemi, popiołu, soli, wapna i t. d. Do rolnictwa potrzeba koniecznie gnoju i żaden pewnie gospodarz nie będzie tak niewyrozumiały, żeby utrzymywał, iż przy dobrej i starannej uprawie obyłoby się bez gnoju.

Rolnik powinien swoją rolę dobrze znać, żeby wiedział czego potrzebuje, aby rośliny na niej zasiane znalazły dobry pokarm. Gnój, którym chcemy rolę mierzwić, powinien zawierać takie części, jakich jej nie dostaje, bo tylko pod tym

warunkiem wyda bujne rośliny. Gnoju trzeba częściej używać takiego, który prędko działa na wzrost roślin, bo taki przynosi pożytek. Ziemia powinna dostać tyle gnoju, żeby rośliny mogły się dostatecznie wykształcić. Zupełnie świeżego gnoju nie trzeba nigdy wywozić na jałową ziemię, tylko dobrze przegniły będzie na takiej ziemi skutecznie działał. Rozmaity gnój powinien być używany do rozmaitych roślin.

Każdy gospodarz tyle wie, że rośliny wyciągają z roli pożywienie, ale nie każdy chce wiedzieć i o tem pamiętać, że się ziemia wnet wyjałowi, jeżeli długo nie dostanie gnoju; bo nie masz na całym świecie takiego gnoju, któryby na zawsze ziemię użyznił tak, aby wydawała piękne urodzaje. — Jeżeli przy odpowiednim gnoju nie będzie starannej uprawy roli, to wtenczas też dobrego sprzętu spodziewać się nie można. Kto ugór wprost pod oźminę gnoi, ten zawsze traci na tem, bo lepiej można go użyć pod rzep, lub na zieloną paszę.

Wszelkie rzeczy zawierające w sobie części gnojne trzeba ochraniać i starannie zbierać, doprawiać i na rolę wywozić. Sucha ziemia na ściołkę użyta, albo na gnojowni rozpościerana pomnaża i ulepsza gnój tak, że prędko działa. Aby gnojownia była stosowna i dobra do utrzymania gnoju w dobrym stanie, powinien każdy gospodarz jak najwięcej starania i pilności w tem dokładać. Nie należy zaniedbywać gnoić zielenizną, a nie łakomić się na jej spasienie. Wielu zrobiło to doświadczenie, że gdy na pół ścięta koniczyna przyoraną zostanie, więcej u następującego po niej zasianego zboża wyda pożytku, niż gdyby była zupełnie ściętą i spasioną. Również i na to uważać trzeba, żeby słomę mocną, a nie zaś kruchą brać na ściółkę do urobienia gnoju na ziemię ciężką przeznaczonego. Dobry gnój może tylko od dobrej i pożywnej paszy utworzyć się, a potem, aby go dobrym utrzymać, zależy od dobrego obchodzenia się z nim tak w oborze, jako też na gnojowni. — Otóż gnój z chlewów, obór itd. wyniesiony powinien być równo rozpostarty, aby jednakowo leżał a nie tak, żeby były doły, lub wybuchy, i przytem udeptać go za każdym razem. Świń i drobiu nie puszczać na niego, żeby go nie rozgrzebywały, bo przez to traci na dobroci. Gnój od rozmaitych zwierząt należy mieszać i równo rozkładać. Jeżeli w gnoju jest wiele słomy, lub słańska nie przegniłego, to należy w środek kupy ułożyć, bo tam najcieplej, to się też prędzej rozłoży czyli przegnije. Żeby wysychaniu gnoju zapobiedz na kupie, trzeba go zlewać gnojówką, a jeżeli tej zabraknie, to wodą.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.